

Nr. 17. Nowemiasto, dnia 29 kwietnia 1926. Rok III.

A. Górecki

ŻEBRAK.

Noc była ciemna, zamieć, ślizgawica;
Szedł jakiś młodzian porządnie ubrany,
W tem, jakby na złość, gdzie wąska ulica,
Stoi staruszek, okryty łachmany
I żebrze.
Wstydź się, czyż to żebrać pora?
Kto to jałmużny prosi wśród wieczora?
Panie! po licu mojem spójrz wybladłem!
Daj mi grosz jaki, jeszcze dziś nie jadłem.
Ej, daj mi pokój, nic nie mam, nie mogę.
Ofuknął młodzian i szedł w dalszą drogę.
Idzie i myśli:
Oj! znam was, filuci,
Miejscy próżniacy, ze wstydu wyzuci.
Wziął lichą odzież, aby litość wzbudzić
I lezie gwałtem, aby co wyłudzić.
Idzie, znów myśli:
Można w gniewie zbłądzić,
Nie trzeba nigdy źle o bliźnim sądzić.
A może biedny, może ma i dzieci?
Zajdę, gdzie w bramie tej ogień się świeci,
Dać mu co...
Zaszedł, lecz coś szukał długo;
Nie mam nic drobnych... dam mu razą drugą...
Słabość jest zbytnią unieść się szczodrotą,
Nie tak to łatwo nabywa się złoto!...
Idzie znów myśli:
Choćbym dał dukata,
Niewielka dla mnie byłaby to strata;
Wszak mam ich kilka, a bez mej pomocy
Może staruszek ten i umrze w nocy.
Lecz gdzież już wracać? spóźnię się na wiska...
Ale biednego tego głód przyciska...
Wrócę się! —
Wrócił. — Ledwie dał trzy kroki,
Umilkło; księżyc błysnął przez obłoki.
Bieży młodzieniec, dziwiąc się tej zmianie,
Bieży, gdzie stoi staruszek przy ścianie.
Dał mu dukata.
Ten, co rządzi w niebie,
Oby dla ciebie był też litościwy,
Oby cię wspierał, gdy będziesz w potrzebie...
Westchnął i zniknął staruszek sędziwy.
Zdziwiony młodzian patrzy do okoła,
Lecz nic nie widać wpośród nocnej ciszy.
Któż jesteś, starcze? — przelękły zawoła.
Wtem jeszcze taki w powietrzu głos słyszy:
Co dasz ubogim, synu mój, nie zginie;
Oddam ci w sądu straszliwej godzinie.
Uważać każdy twój krok dobroczyny
Do mnie należy; lecz jest anioł inny:
Zbiera, co trwonisz, rozrzucasz daremnie;
Pomnij, by więcej nie zebrał odemnie.

Polowanie na rekiny.

Opowiadanie Zygmunta Prumby, oficera statku szkolnego „Lwów."

Próbowaliśmy już najrozmaitszych sposobów, żeby takiego draba (rekina) uchwycić, lecz, niestety, wszystkie nasze usiłowania spaliły na panewce. Od miesiąca już wlecze się za statkiem wędka, kuta ze sztaby żelaznej, odżałowaliśmy nawet kilka sztuk, woniejących wszelkim zapachem sztokfiszów, jako przynętę — a tu jak na złość, żaden nie chce się dać nabrać na kawał.

Słyszę nagle jakieś wołanie, patrzę, a tu kolega pełniący służbę nawigacyjną, wymachując rękoma i nogami daje tajemnicze znaki. Ruszam pędem, myślałem początkowo, że jakaś robota znalazła się dla mnie, którąby mnie wyrwała z wściekłych nudów. — Jestem, — a ten urywanemi zdaniami opowiada o rekinach, idących tuż przy samej wędce. Patrzę, rzeczywiście, dwóch kokietuje ją z widocznym zamiarem zaczepienia. Szczęść im Boże! W tem jeden podpłynął śmiałym rzutem do przynęty, zabłysło coś białego — ugryzł. Serca nasze zamarły! — wisi — nie — psiakrew — wyrwał się! Niech go jasny dunder świśnie. Zamilkliśmy przykuci do miejsca. Podchodzi drugi — chwycił — szarpie — jest. Hip, hip, hurra — rekin — wyrwało się głośnym krzykiem z naszych piersi. Lina się wypręża, jak gdyby miała pęknąć, to znowu zwisa. Na pokładzie ruch, rwetes! W martwym zachwycie patrzymy na naszego jeńca. Rzuca się jak opętany, szarpie w bezsilnym gniewie, ukazując na przemian, to lśniący, błękitny grzbiet, to białość brzucha. „Ha, mamy cię nareszcie, rabuśniku, czekaj, damy ci bobu!" Chwyta dwadzieścia rąk za linę i przy akompanjamencie monotonnego wykrzykiwania podciągamy ofiarę bliżej statku. Nawet nasz poczciwy doktorek przerwał drzemkę i w niedopiętej kamizelce skórkowej pomaga nam w tej czynności.

W odległości dopiero kilku metrów spostrzegamy ustawicznie towarzyszących rekinowi t. zw. „pilotów". Są one wielkości półmetrowej, koloru oliwkowego, urozmaiconego czarnemi poprzecznemi pasami. Pełnią one bardzo poważne zadanie, mianowicie wskazują one żer, gdyż pan ich posiada podobno bardzo słaby wzrok, tak, że bez tych swych ciceronów zdechłby niezawodnie z głodu. I teraz wśród takiego niebezpieczeństwa zagrażającego władcy z rzadkiem przywiązaniem krążą niespokojnie dokoło szamocącego się potwora.

Niepodobieństwem wciągnąć go żywego na pokład, gdyż lina mogłaby się urwać, a cenny łup przepadłby nam na wieki. Przyniesiono karabiny. Padają pierwsze strzały. Rekin, przeszyty na wylot kilkoma kulami, zgłupiał w pierwszem oszołomieniu — i w następnej chwili, w porywie bólu, rzuca się rozpaczliwie we wszystkie strony, krew szkarłatna tryska z ran, barwiąc śnieżną pianę na kolor różowy. Wreszcie się uspokoił. Zaczynamy go powoli windować w górę. Piloty w swej bezprzykładnej wierności starają przyczepić się do swego opiekuna i razem z nim zginąć.

W połowie drogi zakładamy na ogon drugą pętlę i niebawem zadudnił pokład pod ciężarem spadającego cielska. W całej okazałości leży u nóg naszych — demon mórz. Życie jeszcze w nim nie zamarło. Bije płetwami i ogonem o twardy pokład. Z szacunkiem ustępujemy przed temi uderzeniami, gdyż łatwą jeszcze dla niego rzeczą wyrzucić kilku z nas jednem machnięciem ogona na burtę, a pozatem jedno draśnięcie jego chropowatej, jak szmergiel skóry, zdarłoby mięso do samej kości. Istnieje jeszcze jedno bydlę morskie, t. zw. „rais", z którego skóry, dzięki jej nadzwyczajnej chropowatości, plantatorzy wyrabiają sobie rękawice, jedno uderzenie pięści uzbrojonej w taką rękawicę, zdziera odrazu skórę, obnażając czerwone mięso.

Rekin nasz tymczasem, jako tako się uspokoił. Słychać tylko pstykania aparatów fotograficznych, z tłumu wynurzających się. Wśród gromkich okrzyków triumfalnych ciągniemy ofiarę na środek pokładu, by dokonać na niej najrozmaitszych eksperymentów. Uroczystość się rozpoczyna. Zabłysnął nóż ofiarny w dłoniach naszego arcykapłana, bocmana, który majestatycznym krokiem zbliża się do swej ofiary. Twarz skupiona, poważna. Przyklęka powoli, oblicze wzniózł ku niebiosom, poczem zdecydowanym ruchem podniósł nóż i odciął ogon. W następnej chwili wyswobodził hak, który przebił górne podniebienie, i wyszedł prawem okiem. Wykonuje to z taką precyzją i zamiłowaniem, jak gdyby był zawodowym rekinów rzeźnikiem. Ot — zbliża się najciekawszy moment — otwierania żołądka. Punkt kulminacyjny. Jedno cięcie i przed oczyma połyskującemi ciekawością, już nie Adama, ale Ewy, wydobywa się na światło dzienne najrozmaitsze rupiecie. Zmięty kawałek papieru, suszony sztokfisz i kilka kawałków drutu. Do podziwienia godny apetyt. —

W tem odskoczyliśmy: rekin, mimo pozbawionego ogona i przedziurawiony kulami jak sito i z rozprutym brzuchem, wykonuje jeszcze kilka nagłych podskoków. — Wreszcze agonja. Co za twarde życie w takiej bestji siedzi, trudno uwierzyć! Serce, naprzykład, wycięte i położone w kałuży krwi na pokładzie, kurczyło się jeszcze rytmicznie przez kilka minut. Hurmem rzucamy się, jak głodne wilki na tę krwią ociekłe, drgające szczątki tyrana wód, rozrywamy je, żeby zdobyć przynajmniej jakąś pamiątkę. Giną pletwy, szczęki, oczy, skóra, kręgi i po krótkim czasie zostały tylko parujące ochłapy mięsne. Teraz dopiero oglądamy już zbliska te potworne szczęki, z których każda uzbrojona w podwójny rząd zębów tak, że o ile coś chwyciły, niemogą już łupu puścić. Kły zbliżone do kształtu trójkąta, wierzchołek wydłuża się w ostrą igłę, długość całego zęba wynosi około 1—1 i pół cm. Rekinek wobec tego nie odgryza na przykład ręki lub nogi, lecz dzięki swej nadzwyczajnej siły rozrywa, ćwiartuje nieszczęsną ofiarę.

W ciągu dalszej podróży udało nam się jeszcze złowić dwa młode rekiny, których mięso urozmaiciło nasze „menu". „Oko za oko, ząb za ząb". Nas wcinają, dlaczego my mamy być gorsi? Smak jest nadzwyczaj skomplikowany, lecz grunt, że znowu coś jadalnego, właściwie strawnego do żołądka się dostało. To też z miłą, łechcącą podniebienie rozkoszą, odczytywaliśmy nasz na drzwiach kuchennych wywieszone, następującej treści „menu"!

S. S. „Lwów".

Menu

Niedziela.

I Sniadanie: kawa, chleb, smalec,
II Sniadanie: smażony rekin.
Obiad: Zupa litewska
Kryklety z sosem à la „Lwów".
Kolacja: Mokka wyb., smakołyki.

Na drogach żywota.

Nieraz burza szaleje nad głową,
Wicher nami nad przepaścią miota
A grom ciemność oświetla grobowy,
Jednak wyżej widać błękit nieba.
Tylko wznieść się nad chmury potrzeba.

A. Asnyk.

W NIEWOLI TATARSKIEJ

Powieść z XVI wieku 28
osnuta na tle historycznem.

(Ciąg dalszy)

XIV.

Wielkie dzieło ukończone. — Nowi towarzysze. — Łódź zbawcza. — Noc upragniona. — Nowe trudności. — Poświęcenie. — Znów niewola.

— Nie mogę pojąć — odezwała się pani Bohowitynowa — jakim sposobem myśleliście uciekać, nawet gdyby się udało dostać do tej kopalni; przecież wyspa należała do tych strasznych korsarzy, a statku nie mieliście, żeby stamtąd wypłynąć.

— Właśnie, mateńko, nad tem najwięcej głowy sobie łamaliśmy, ale od czegoż Beppo, który na wszystko poradzić potrafił. Jednej nocy, a było to już przeszło dwa lata, jak pracowaliśmy w podziemiu naszem, ja i Beppo, z siekierami w ręku, rozbijaliśmy skałę wapienną, kiedy nagle bryła cała usunęła się przed nami chłodne powietrze wionęło prosto w twarz, a przed oczyma zabłysło światło jakieś. O, Boże wielki! byliśmy już przy tym dole, na którym wykuta galerja marmurowych łomów otwierała się wprost ku morzu. I tamtędy z błękitnego nieba zabłysła gwiazdka, jak gdyby nam drogę wskazać chciała. Ja, klęcząc wzniosłem ręce do nieba, łzy mi twarz zalewały, a usta szeptały słowa dziękczynienia dla Wszechmocnego. I Beppo padł twarzą do ziemi, modląc się, płacząc i śmiejąc zarazem.

Łatwo się domyśleć, jak się wszyscy towarzysze radowali, jak jeden po drugim wślizgiwał się do otworu, żeby spojrzeć na niebo i odetchnąć pełną piersią powietrzem, co od morza wiało. Trzeba było tem większej mocy, żeby ich utrzymać w spokoju i cierpliwości, nim się da urządzić coś dla wyprowadzenia nas z tej korsarskiej kryjówki. Kilku z towarzyszy, niosąc kamień do przystani przypatrzyło się już cokolwiek wyspie i jej wybrzeżom; teraz Beppo wymknął się każdej nocy, żeby lepiej zbadać okolicę.

Nie będę już opisywał, ile to trudności przedstawiało się na każdym kroku, czy to w przytwierdzeniu liny do dołu w kopalni, czy w prześlizgiwaniu się niepostrzeżenie, aby nie być schwytanym przez korsarzy; dość, że wkońcu Beppo upatrzył sporą łódź w przystani, między skałami ukrytą a mogącą nas wszystkich pomieścić, i postanowiliśmy próbować szczęścia, jak tylko nasi korsarze udadzą się na wyprawę. Wybierali oni do tego najczęściej noce ciemne, a znając wybornie przesmyki i kryjówki około swojej wyspy, przesuwali się bez szwanku między skałami i rafami podwodnemi, których tam było mnóstwo. Dla tych też raf zapewne żaden okręt obcy nie zawadził nigdy o wysepkę naszą i rabusie czuli się tu bezpiecznymi.

Czekaliśmy więc niecierpliwie nowiu księżyca do uskutecznienia naszej ucieczki, kiedy niespodzianie przybyło nam dwóch jeszcze towarzyszy. Jeden był kupiec z Francji, który zostawił żonę i kilkoro drobnych dzieci; drugi także Francuz, młody chłopak, jedynak matki wdowy. Trzeba im było odkryć tajemnicę podziemia, a teraz już dwunastu prócz mnie znajdowało się niewolników w jaskini naszej.

Nadszedł wreszcie dzień wielki, upragniony. Od rana już, pracując w kopalni i wyciągając kamienie na wybrzeże, zauważyliśmy ruch niezwykły z daleka na wyspie; musieli się rabusie gotować na większą wyprawę i wcześniej nawet, niż zwykle, zapędzili nas na nocleg. Czas był pochmurny i pod wieczór nawet mgła zaczęła się unosić nad wybrzeżem. Skorośmy zostali sami, ja ukląkłem, jak zwykle, do pieśni wieczornej, po której odśpiewaniu padłszy na twarz, gorąco się modliłem o powodzenie naszego przedsięwzięcia. I głucha nastała cisza, a każdy w skupieniu ducha musiał po swojemu korzyć się przed Władcą Wszechrzeczy, którego w takich chwilach dusza najmocniej uznaje. Potem wstaliśmy, zabierając się do podziemia; a trzeba było wielkiej ostrożności i porządku; przez ciasny kurytarzyk po jednemu tylko wysuwać się mogliśmy i to pełzając na czworakach czasami, a każdy wypoczywał chwilę w owej pieczarze, którei znaczną część zasypaliśmy byli ziemią. Wygrzebawszy się aż do końca kurytarza, trzeba było znów, czepiać się liny, za pomocą drabiny sznurowej, którąśmy już od kilku miesięcy mozolnie wyplatali, wdrapywać się na górę do kopalni. Wszystko to zajęło sporo czasu, zanim ja ostatni wydobyłem się z kryjówki naszej.

Tymczasem Beppo z trzema innymi poszedł już był chyłkiem ku miejscu, gdzie się znajdowała zwykle uczepiona łódź i spodziewaliśmy się, że niezadługo przybiją do brzegu od strony kopalni, aby nas z sobą zabrać i puścić się na morze. Spokojne ono dziś było, Bogu dzięki, bo inaczej jakże się puszczać na bezdenne głębiny w wątłej łodzi, która, jak łupina z orzecha, o skały rozbić się mogła? I teraz rachowaliśmy na biegłość marynarską niektórych naszych towarzyszy, aby się prześlizgiwać między rafami nadbrzeżnemi.

Czas mijał, Beppa i łódki upragnionej jakoś widać nie było; serce mi jak młotem biło w piersi, ale uspokajałem towarzyszy i Leszka, który, drżąc ze wzruszenia, tulił się do mnie. Wreszcie cichy plusk wioseł odbił się o uszy nasze: To on! już się zbliżają, już są przy brzegu, Beppo wyskakuje na ląd. Szybko, urywanemi słowy opowiada, że przybywszy na miejsce, łodzi nie znalazł, korsarze ją widać zabrali, musiał szukać dłużej; już upatrzyli drugą, gdy straż tam postawiona zawołała na nich, czego chcą? I tym razem przytomność umysłu Beppa pozwoliła im się wywinąć z tej matni tak, że sami strażnicy, nie znając ich, dopomogli łódź odczepić, ale niestety! łódź ta o wiele mniejsza od tamtej, nie wiadomo, czy dziesięciu ludzi zmieści!

Tu dopiero wzburzenie, nikt nie chce zostawać, wszczyna się spór, zaciskają się pięści, gniewne słowa lecą, a tu czas uchodzi i lada chwili możemy być wyśledzeni... Naturalnie chciano zostawić owych dwóch ostatnich więźniów, którzy nawet nie pracowali nad podziemiem, ale ci błagają, żeby ich nie porzucać; jeden żonę i dzieci przypomina, drugi miał być odesłany do pułków janczarskich, więc wszelkimi siłami chce się ratować. Cóż robić? Czyż wszyscy mamy ginąć przez opór, tyle przeniósłszy i przecierpiawszy? Przemówiłem raz i drugi, ale napróżno; już się dwóch majtków porwało za barki, a kłótnia coraz gwałtowniejsza wybucha. Niema ratunku! wyciągnąłem rękę i mocnym głosem nakazałem milczenie, poczem zwracając się do Beppa, który był jakby wodzem na łodzi, rzekłem:

— Bóg mi świadkiem, że czekałem tej chwili, jak zbawienia prawie i wszyscyśmy jej również czekali; teraz zgubimy się dobrowolnie. Widzę, że innej rady teraz niema; mamy ginąć wszyscy to niech lepiej ja ginę. Zostaję tutaj, wy płyńcie; kto jeszcze ze mną?

Beppo zaklął straszliwie.

— To być nie może! Ja łódź zatopię, a bez ciebie nie jadę!

I znowu wahania, spory, groźby. Wreszcie wezwawszy Boga na pomoc, oddałem im w opiekę Leszkę który także z początku porzucać mnie nie chciał i odszedłem kilka kroków, a tu już i krzyk jakiś na wyspie słychać było. (Ciąg dalszy nastąpi.)

400-letni jubileusz czekolady.

Czekolada jest obecnie tak popularnym, tak szeroko rozpowszechnionym i ulubionym artykułem żywności, że warto przypomnieć, iż smakołyk ten obchodził w roku bieżącym jubileusz swego 400-letniego istnienia w Europie.

W ostatnich dniach minęło 400 lat od chwili, kiedy Hiszpanie po raz pierwszy przywieźli czekoladę z Meksyku do Europy. Czekolada wkrótce zyskała sobie taką popularność, że damy z arystokracji nawet w kościele jadły ją i piły. Oczywiście, gryzienie kawałków czekolady lub chlipanie czekolady w stanie płynnym, przeszkadzało nastrojowi nabożeństwa i odrywało uwagę wiernych od kazania. Dlatego biskup Bernard de Salazar zagroził tym, którzyby w czasie nabożeństwa zajadali czekoladę, klątwą.

Z okazji małżeństwa Ludwika XIII, czekolada przybyła do Francji. Królowa przepadała za czekoladą, a cała szlachta poszła za jej przykładem. Sprowadzono z zagranicy rzeczoznawców, którzy mieli się starać o to, aby francuska czekolada była jak najsmaczniejszą. Słynny smakosz i gastronom, Brillat-Savarin, poświęcił specjalny rozdział swego dzieła czekoladzie. W roku 1661, wydział medyczny Paryża wypowiedział się otwarcie na korzyść czekolady. Ludwik XIV nie lubił wprawdzie czekolady, jako napoju, i mówił o niej, że zaspakaja ona głód, nie dając jednocześnie uczucia prawdziwego nasycenia. Ta niechęć królewska nie przeszkodziła jednak czekoladzie w zwycięskim pochodzie. Kardynał de Richelieu, pani de Sevigne, Woltair — przepadali za czekoladą. — Napoleon I, kiedy pracował w nocy, nie kawą się pokrzepiał, ale czekoladą. Przed bitwą Mały Kapral zagryzał zawsze tabliczki czekolady. W czasie wojny światowej, czekolada była środkiem pokrzepiającym i orzeźwiającym dla żołnierzy w rowach strzeleckich.

Trafiła kosa na kamień.

Podczas mych podróży widziałem wieżę, której szczyt sięgał do nieba — mówi pierwszy. — A ja — rzecze drugi — widziałem wierzę tak niską, że jej wcale widać nie było.

Żyje.

— Proszę tatusia, czy żyje jeszcze ten król Herod, co to znęcał się nad dziećmi?

— Żyje, kochanku, żyje... i mieszka obecnie w Holandji...

Łamigłówka. I.

Ułożyła „Genowefa" z Nowegomiasta.

W niżej podanej figurze zestawić wyrazy, które się będą krzyżowały.

1. Tytuł wodza kozackiego.
2. Imię żeńskie.
3. „Przyjaciel" w obcym języku.
4. Imię męskie.

	a	a	a	a	
a	a	a	a	a	a
c	i	i	j	j	j
j	m	m	n	n	n
n	n	s	s	s	t
	u	o	z	z	

Łamigłówka II.

ułożył „Złote serduszko" z Nowegomiasta.

Z niżej podanych sylab ułożyć 24 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół utworzą tytuł, imię i nazwisko dowódcy z czasów powstania listopadowego.

Znaczenie wyrazów:

1. Bogini litewska.
2. Rzeka w Ameryce.
3. Miasto w Europie.
4. Król spartański.
5. Rodzaj motyla.
6. Port nad Bałtykiem.
7. Imię męskie.
8. Wyspa.
9. Narzędzie z żelaza.
10. Zagłębienie w ścianie.
11. Zwolennik cesarstwa.
12. Lekki jednokonny powozik.
13. Naród.
14. Przyrząd do skrapiania.
15. Zwierzę afrykańskie.
16. Cesarz rzymski.
17. Zwierzę kręgowe.
18. Imię męskie.
19. Samogłoska.
20. Bractwo religijne.
21. Miasto w Europie.
22. Ozdobne naczynie wydrążone.
23. Świątynia egipska.
24. Samogłoska.

Sylaby: B, ba, ban, c, cy, cza, d, da, di, for, ga, ga, grze, i, i, im, ja, ja, jan, jan, jasz, jo, jo, ka, ka, kab, kar, ko, ku, le, ler, let, li, li, lo, lon, n, na, nak, ni, no, o, o, o, o, p, p, pau, per, per, per, pi, r, r, ri, ry, ry, ry, so, so, sta, sza, sza, te, tor, tra, u, wa, wie, x, y, z, zan.

Łamigłówka rachunkowa

ułożył Mówka z Mroczna.

W jednym chlewie znajdowały się kury i króliki, razem było 72 ócz i 100 nóg.

Ile było kur i królików.

Rozwiązanie łamigłówki matematycznej z Nr. 11.

71	82	93	104	25	36	47	58	69
81	92	103	33	35	46	57	68	70
91	102	32	34	45	56	67	78	80
101	31	42	44	55	66	77	79	90
30	41	43	54	65	76	87	89	100
40	51	53	64	75	86	88	99	29
50	52	63	74	85	96	98	28	39
60	62	73	84	95	27	27	38	49
61	72	83	94	105	26	37	48	59

nadesłali: „Balladyna", „Genowefa" z Nowegomiasta, Alfons Licznerski z Lubawy, „Słoń indyjski", „Złote serduszko" z Nowegomiasta.

Rozwiązanie szarady z Nr. 11.

Kaleka.

trafnie nadesłali: „Balladyna", „Genowefa", „Słoń indyjski", „Złote serduszko" z Nowegomiasta, natomiast błędnie: „Bohun" i „Tajemniczy Dżems" z Nowegomiasta.